

Zaparkowałem tego cholernego, kaszlącego nissana pod samą kręgielnią. Idealnie na kopercie. Stały tu tylko dwa auta, najpewniej należące do pracowników „Bowling Palace”; poza tym pustka, jak okiem sięgnąć tylko kałuże i uwydatniające ich zamulenie światła latarni. Mało kto grywał po dwudziestej drugiej, skoro pozostała już tylko godzina do zamknięcia. Nie w taką pogodę. Poza tym mieszkańcy Górek Dolnych zaskakująco rzadko wychylali nabrzmiałe tłuszczem ciała poza wygodne, bezpieczne kryjówki, choć tak wiele rozrywek pojawiło się ostatnio w mieście. Oprócz kręgielni wybudowano dwa baseny, kino oraz strzelnicę, a w odwodzie pozostawał jeszcze projekt wesołego miasteczka. Nie jednego z tych, które wędrują po setkach miast niczym rozjuszony bezdomny, aby cyklicznie zataczać koła i powracać jak po jałmużnę. Prezydent Stefaniak osobiście wyraził opinię, że park rozrywki nie tylko powstanie, a co więcej, zostanie przytwierdzony śrubami do podłoża. Na stałe.

Upewniłem się, że zatrzasnąłem porządnie drzwi w samochodzie – statystyki na temat włamań do pojazdów w celu usunięcia radia wciąż w Górkach były raczej w stany wyższe - i ruszyłem do kręgielni.

Dawno mnie tutaj nie było. Ledwo poznałem sam budynek, a co dopiero jego wnętrze – wielkie niczym jakaś hala fabryczna, kolorowe, z plakatami mieniącymi się zapowiedziami imprez i turniejów, koncertów nieznanych mi kapel i ich obcobrzmiących gatunków muzycznych. Jednakże to sama, dość jeszcze świeża gra, najbardziej podniecała żadnych rozrywek obywateli postkomunistycznego bloku wschodniego. Rozgrywka i ciągnący za nią powiew niezobowiązującej, beztroskiej formy, dotychczas niewyobrażalnej dla uwiązanych systemem roboi, klasy średniej i owakiej.

Nawet mnie to ruszyło. Cztery tory wyłącznie do naszej dyspozycji! Nieźle. Miło pograć, miło spędzić wieczór w sposób mniej mdły niż podróże z publiczną telewizją, ale po prawdzie... To spotkanie ze starymi kumplami wyciągnęło mnie z bloku z wielkiej płyty.

Zastanowiłem się, czy Mariuszowi dalej tak się powodzi w branży informatycznej. Ostatnio opowiadał, że nawet za najprostsze czynności kasuje od ludzi po sto nowych złotych. Wgranie systemu operacyjnego – proszę bardzo, ale to zajmie parę godziniek... O, myszka panu wysiadła? To pewnie przez kulkę, skomplikowana sprawa.

Trzeba przyznać, że gość idealnie wyczuł trend na przełomie wieków. Złapał bakcyła. Zupełnie jak polski Bill Gates, nie ma co.

Westchnąłem.

A Koza? Ustawił się, muszę mu to przyznać. To on nalegał, aby spotkanie odbyło się tak późno wieczorem. Wcześniej musiał odebrać dzieciaka z zajęć koszykarskich i odpokutować żonie piwo w zeszłym tygodniu. Mimo grafiku napiętego do granic kosmosu zawsze starał się znaleźć czas dla naszej trójcy, co niewątpliwie za każdym, pojedynczym razem musiał wyperswadować żonie nowymi błyskotkami, bynajmniej nie kupowanymi na pierwszym lepszym ruskim targu. Albo markecie, bo i nawet tam skrzyło się już pomału karatami.

Na ostatnim torze, w samym rogu, dostrzegłem chuderławego faceta. Oto i on!

- Cześć, Koza! – uśmiechnąłem się na widok kumpla, który już ćwiczył wkładanie palców do kuli i ener-

gicznie rozprostowywał nogi. – To nie paraolimpiada, nie musisz się tak rozgrzewać!

Nagabnięty ostrożnie odchylił się za siebie i zasalutował po wojskowemu. Choć duszą był raczej pacyfistą, to chyba do cna przesiał jankeskimi filmami o amerykańkach i nazistach, wirtualnej, nasączonej prze-mocą odmianie zabaw w policjantów i złodziei.

- Siema chłopie, co u ciebie? – Koza mocno uściskał mi rękę i wziął się za przytaczanie historii, jak to jego pociecha rośnie i co też wyrabia w szkole. - Ostatnio młody kropnął jakiegoś kumpla prosto między nogi! Mówię ci, afera taka, że od razu nagana i chcieli go wypieprzyć ze szkoły. Na szczęście dogadałem się z ojcem chłopaka, nie ma to tamto. Przez flaszkę do serca, nie?

- Tak jest, Koza – odparłem, popijając pszeniczne jasne. Co za tanie szczyzny... Chyba z trudem od-sączone pompą o wysokiej mocy z samego dna zakiszzonej beczki.

Gdzieś za nami wrogo spoglądała kelnerka, usiłując dać światu do zrozumienia, że skoro trzeci raz czyści ten sam stolik, to chciałaby zamknąć lokal tu i teraz. Nie ma mowy!

Po dziesięciu minutach dołączył do nas Mariusz. Kelnerka dała sobie spokój i gdzieś wsiąkła, zabierając ze sobą mdły zapach przesadnie kwiecistych perfum. Nic dziwnego. Mieliśmy na nią porządnego haka. Jako że przyjaźniliśmy się z dyrektorem kręgielni, mogliśmy swobodnie okupować ją nawet do północy; o ile zapłacimy za dodatkowy czas, ma się rozumieć. Juras nie był w tej materii zbyt pobłażliwy.

Ludzie i ich kariery, a niech to.

Patrzyłem tak na Mariusza i widziałem człowieka wyjętego prosto z rozkładówki Bajtka; reprezentował go sweter wciągnięty na spoconą koszulę i wielkie okulary korygujące dwa minusy. Informatyczny dryg zdradzał nawet dość niepewny chód i walizka, choć zapewne pusta, to nadająca jego profesji kolejnego ułamka powagi. Ciężko mi było zdecydować, czy podoba mi się to, co widzę – gościa-kpinę czy też biznesmena.

Mniejsza o to. To wciąż był ten sam, łebski Mariusz.

- Ale mnie dzisiaj ciągal... – zgodnie z oczekiwaniami pożalił się na przywitanie. Głos miał zachrypnięty, a bujne włosy ułożone w klasyczne „ptasie gniazdo”. Mimo trzydziestki na karku nie sprawił sobie jeszcze wozu i był zmuszony dojeżdżać do klientów komunikacją miejską, co w gruncie rzeczy przekształcało charakter jego pracy z siedzącej w wybitnie fizyczną. – Wiecie, że teraz wprowadzają te nowe napędy, nie?

- Ano – przytaknął Koza i zgrabnie posłał kulę po torze. Nie stracił tylko jednego kręgla, co skwitował soczystym przekleństwem.

- To wyobraźcie sobie, że ludzie dzwonią po mnie, żebym im wytłumaczył, jak się wkłada płytkę do takiego napędu. Mniejsza, że w większości to emeryci, ale nawet młodzi mają równie idiotyczne problemy...

Rozegraliśmy ze dwie gry, zapisując wyniki w notesie pilnowanym przez Mariusza. Nie mogłem uwierzyć, że za każdym razem kończyłem trzeci. Przystępując do następnego rozdania – mojej ostatniej szansy na honor – tematy naszych rozmów meandrowały wokół metod przewijania dzieciaków i komplikacji

z tego wynikających, o czym Koza miał najlepsze pojęcie, ja co najwyżej blade, a Mariusz żadne, oraz zahaczały o tematykę firm informatycznych i czasów wręcz idealnych na założenie jednej, o czym gorączkowo przekonywał nasz etatowy komputerowiec. Ostatecznie jednak i tak dyskusja podryfowała ku starym czasom i pamiętnej nocy, kiedy to jako żółtodzioby szturmowaliśmy pawianicki burdel.

- Do dziś mam tą paskudną szramę... Skurwysyny – Koza najdotkliwiej zapamiętał rzeczony wieczór. Nie tylko on. Także i mi przed oczami figlowały stare, do dziś nieprzetrawione psychicznie dzieje.

- Wtedy się działo!

Kiedyśmy się tak skradali, aby przez momencik nasycić oczy zakazanym widokiem, nagle z transu wyrwał nas odgłos truchtu. Tup, tup, złowieszcze i jakże nieoczekiwane. Zza rogu budynku wypadł ogromny w barach mężczyzna z kijem w dłoni. Rzucił przekleństwem niczym lassem i zaatakował nas bez uprzedzenia. Po prostu puścił pianę prosto z pyska i natarł. Żołądek prawie mi pękł. Nieprzyjemne uczucie. Pędem zaczęliśmy biec się w tę skromną dziurę w płocie, a dawaliśmy z siebie wszystko! Gdyby takie czasy wykręcać na WF-ie....

Prawie. Wyszło prawie idealnie. Trzeciemu z nas nie wystarczyło sił, a może szczęścia, żeby w porę w nią zanurkować w gałęzie i zbiec przed szarżującym napastnikiem.

– Cholera, mówię wam, chłopaki – Głos Kozy przygasł. Gdzieś głęboko w zakamarkach jego duszy wciąż tkwiło to przerażenie, które każdy z nas zapamiętał aż nazbyt dobrze. – Ten dzikus tak mi zasadził tym baseballlem, jakby chciał zabić. Bił, żeby zabić, mówię wam. Gdybym został dosłownie sekundę dłużej, to rozgniółby mnie jak mielone... O, patrzcie!

Koza odchylił nogawkę spodni aż po kolano. Paskudny, zbrązowiały krwiał pokrywał całą długość patykowatej nogi. W jego miejscu nigdy nie wyrosły żadne włosy, a cały obszar nosił ślad interwencji chirurgicznej.

- Trzy tygodnie na zwolnieniu. Są plusy i minusy – Uśmiechnął się Koza. – Ale do dziś boli mnie jak diabli. Nawet teraz czuję.

- Przekichane – rzuciłem pocieszająco. – Jezu, ile to lat już minęło? Koło piętnastu, odkąd nie mieszkamy w Pawianicach. Co ja mówię, nikt tam nie mieszka.

- Zaczęło się od burdelu – zauważył Mariusz. – Nikt nie chciał wychodzić z domu, żeby nie było, że zachodzi na panienki. No i ja to się wcale nie dziwię, że wiocha padła. Przekleństwo mieć takie coś w sąsiedztwie.

Mariusz miał rację. Cholera, stwierdzał czyste fakty. Dzień zbudowania w Pawianicach burdelu był symbolem początku końca naszej rodzinnej miejscowości. Od „wielkiego otwarcia” zaczęły padać ledwo ziępiące zakłady, a wkrótce potem dołączyły do nich branżowe sklepiki, spożywczeni i knajpy. Zmniejszano ilość klas w szkołach, desperacko cięto budżety, aby na koniec i tak pozwalniać nauczycieli. Najpierw pouciekali młodzi, a potem starzy, jeśli wcześniej nie pomarli, rzecz jasna. Efekt domina albo... wyjątkowo perfidnego huraganu. Osiedle bloków przeznaczono do remontu, ale, że nikt nie kwapił się do rozbierania starych płytek azbestowych i ratowania niepewnych konstrukcji, to decyzja mogła być tylko jedna: całkowita rozbiórka. Nikomu i tak nie było szkoda. Teraz wszyscy przeprowadzili się do Górek Dolnych, wrzucając pawianicką przeszłość do archiwum rzeczy bez żalu zapomnianych; przeszłość, którą pakujesz

do kartonowego pudła, aby doczekała śmierci głodowej albo na zmasakrowanym pajęczynami strychu, albo w smutnym, żelaznym kontenerze na śmieci.

- Ciekawe, czy jeszcze istnieje – rzuciłem.

- Masz na myśli burdel? – zapytał Mariusz.

- Tak. Wiem, że w Pawianicach zostawiono wszystkie drewniane chałupy nieruszone, ale wątpię, żeby ktoś faktycznie w nich mieszkał. Może jednostki, bo po co inaczej? Tak samo z burdelem. Odkąd wybudowano obwodnicę, szosa przy nim nie jest raczej oblegana.

- Właściwie to pewnie wcale. Z tego, co pamiętam, to chyba służy teraz wyłącznie jako dojazdówka do Pawianic. Ale komu? Nie mam zielonego pojęcia.

Przez dłuższą, pozbawioną dźwięków chwilę sączyliśmy piwo.

Pieprzyć kręgle.

Pieprzyć dorosłe życie.

- Macie wolne w weekend? - zapytałem.

Na komendzie znajdował się mały, zagracony aktami pokoik, w którym zainstalowaliśmy peceta z dostępem do internetu. W wolnych momentach można było się w nim odprężyć czy pouczyć, nadrobić doskwierające braki w informatyce. Sęk w tym, że wolne momenty wypadały albo we wczesne poranki, gdy nie ma akcji, odpraw ani wymagań co do roboty papierkowej, a ludzie snują się w poszukiwaniu kawy, albo późnymi popołudniami, kiedy zaraz po obiedzie zjawia się druga zmiana.

Tym razem wyprzedziłem stadko chętnych na wypisywanie maili policjantów i rozsiadłem się na niezbyt wygodnym, drewnianym krześle. Cięcia w budzecie, a niech mnie. Ze zdumiewającą dla siebie zręcznością wklepałem adres wyszukiwarki internetowej i interesujące mnie hasło: „Pawianice”. Postanowiłem przeprowadzić rozeznanie przed powrotem naszej trójcy na stare śmieci.

To już chyba skrzywienie zawodowe.

- Ej, kiedy kończysz? – bezimienny, zarośnięty jednocześnie na „czeskiego piłkarza” i „Rumcajsa” policjant z drugiej zmiany wpadł do pokoju bez pukania. – Muszę coś na chwilę...

- Pół godziny! – wrzasnąłem tak głośno, żeby cała kolejka czychających za drzwiami internetowych zombie dosłyszała. W godzinach komputerowego szczytu zawsze sterczało tam od groma ludzi, jakby nie mieli domów.

Papierosy albo internet. Ich cała rozrywka. Świeże powietrze? Ktokolwiek?

Oddałem się surfowaniu po sieci z niemalą zawziętością, ale muszę przyznać, że moje sumienne poszukiwania podchodziłyby pod te z rodzaju zupełnie bezowocnych, gdyby nie pewne forum dyskusyjne.

Owo obiecane trzydzieści minut dobiegało końca. Znużony pochłaniałem treści zaledwie dotykających interesującego mnie tematu, zacząłem ziewać z coraz większą częstotliwością. Przyznaję, że to mogło złamać śledztwo na wyjątkowo wczesnym etapie.

Błądziłem, cofałem się i znowu eksplorowałem pełne bełkotu medium.

Poszlaki, poszlaki, poszlaki.

Aż nareszcie COŚ.

Ukryta za piętrzącą się warstwą stron o polityce, powtarzających się wiadomości dotyczących niżu demograficznego w regionie oraz cukierkowych stron osobistych, pisanych w najstarszych możliwych językach programowania – co nawet ja potrafiłem dostrzec - znajdowała się prawdziwa skarbnica wiedzy.

Zanotowałem adres w notatniku: *www.tajmnice-dyskusje.net*.

Całość sprawiała minimalistyczne wrażenie i świadczyła o najwyższym poziomie pedantyczności – lub też braku umiejętności - właściciela strony. Kilka jasno sprecyzowanych kategorii i czcionka Times rozlana na klasycznym, białym tle. W zasadzie bzdety, jeśli chodzi o treść. Merytoryczne zero.

Dzieciaki rozprawiające o zjawiskach paranormalnych, zakłóceniach na fotografiach, które zdawały się być upiorami albo ich dziadkami przebranymi za rzeczono, o bujdach i pierdołach oraz innych tym podobnych głupotach. Nie to jednak zwróciło moją uwagę. Zrobiła to kategoria grupującą wątki traktujące o opuszczonych posiadłościach, a szczególnie skatalogowany w niej temat zatytułowany „Pawianice”.

Intrygujące.

Użytkownik o pseudonimie „Jasiek” opisywał w nim dość szczegółowo upadek miasteczka i liczną emigrację, w wyniku której Pawianice są już wyłącznie ciekawostką historyczną, łatwym tematem na temat pracy magisterskiej dla antropologów. To by się zgadzało. Poza tym facet wspominał o pustostanach i piętrzących się śmieciach, nadając relacji realizmu paroma zamazanymi zdjęciami. Jedno z nich, niestety kiepskiej jakości, przedstawiało słynny, pawianicki burdel. Nie miało podpisu, ale ten budynek rozpoznałem bez kłopotów. To była nasza Wieża Eiffla, nasz klejnot koronny.

Najistotniejszą informacją, prócz wywodu „Jaśka”, była zapoczątkowana przez niego wymiana zdań, w której efekcie sformowała się grupka trzech osób. Grupa ta, jak udało mi się dowiedzieć, za cel obrała sobie połączenie sił i wyprawę do „przekłętego miasta”, jak już zdążono okrzyknąć Pawianice.

„Przekłęte” – niezłe określenie, pomyślałem. Z drugiej jednak strony... Dzieciarnia i jej zabawy. Kto normalny spotyka się z nieznajomymi z sieci i wyjeżdża z nimi gdziekolwiek? Miałem mnóstwo niemal rodzicielskich uwag do tych młodych poszukiwaczy przygód, lecz w porę zorientowałem się, że według ustaleń grupy do opisywanej schadzki miało dojść przeszło dwa miesiące temu.

Dość dziwne, bo po tym czasie nie napłynęły żadne nowe wiadomości.

O ile zdążyłem poznać realia forum, to użytkownicy zazwyczaj łaknąc uwagi, wypisywali wszelkie sz-

czegoś na temat swych podbojów, gęsto okraszając je fotografiami i „uśmieszkami”, gratulowali sobie wzajemnie odwagi i winszowali wiekopomnych sukcesów. Tym razem to nie nastąpiło, jakby Pawianice niegodne były własnej historii o duchach. A może... Z jakiego powodu chłopaki miałyby trzymać gęby na kłódkę?

Coś we mnie drgnęło. Uśmiechnąłem się. Wspomnienie z przeszłości przedarło się z zakamarków umysłu na pierwszy plan. Ci goście jak żyw przypominali mi Kozę, Mariusza i mnie samego!

Banda cymbałów.

- Wyłazisz już? – głos brodacza wyczekującego za drzwiami wyrwał mnie z transu. Słowo to słowo, musiałem dać sobie spokój.

Zabrałem notatnik, wyjąłem z ust starannie obgryziony długopis i pogrążony w myślach opuściłem komisariat.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 13.09.2013 08:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.